

Ludwik Dorn: Otorbiony tygrys, przyczajony smok

W bezwładne trwanie podtrzymywanej przez miękką postsmoleńską stasis wspólnoty uderzył mróz ze Wschodu



W bezwładne trwanie podtrzymywanej przez miękką postsmoleńską *stasis* wspólnoty uderzył mróz ze Wschodu

Przedmiotem poniższych rozważań są statyka i dynamika polityczna (przez analogię do pojęć statyki i dynamiki społecznej wprowadzonych przez Comte'a) obecnej wspólnoty politycznej Polaków. Stawiam i udowadniam tezę, że „podział postsmoleński” w ciągu minionych czterech lat stał się istotnym czynnikiem statyki politycznej

podtrzymującym strukturę i układ politycznych sił w niezmiennym kształcie, natomiast czynnikiem dynamiki politycznej, a zatem rozwoju i zmiany, staje się kryzys ukraiński i działania Rosji, które roboczo określam jako „czynnik wschodni”. Ponieważ „czynnik wschodni” ma już obecnie olbrzymią realną siłę oddziaływania, a jeszcze większą potencjalną, to uważam, że dynamika polityczna w najbliższych latach przeważać będzie nad statyką, a układ sił politycznych w Polsce ulegnie daleko idącym zmianom.

O podziale postsmoleńskim, który narodził się w prezydenckiej kampanii wyborczej w 2010 roku (sławetna „wojna domowa” Andrzeja Wajdy), a utrwał się wraz z jej rozstrzygnięciem dyskutowano i pisywano ze szczególną intensywnością przez pierwsze dwa lata. Obecnie temat powraca przede wszystkim w kontekście rocznicowym. W jakiejś mierze został uznany za niezmienny element polskiego życia politycznego i duchowego, a nie sposób cały czas równie gorąco i często opisywać stałe elementy krajobrazu. W publicznym języku podział ten opisywany jest przede wszystkim językiem psychologii społecznej poprzez analizę emocji i sposobów ich mobilizacji. Bardzo często język ten jest wzbogacany pojęciami zaczerpniętymi z antropologii społecznej i kulturowej („wojna plemion”) lub socjologii religii (wyznawcy „religii smoleńskiej” przeciw członkom „sekty pancernej brzozy”). Autorzy z kręgu Teologii Politycznej już w 2012 roku zwrócili uwagę na to, że te kategorie opisu depolityzują podział postsmoleński zamykając go w sferze społecznej i kulturowej. Tam, gdzie mamy do czynienia z plemienną wojną na totemy lub z wojną quasi-religijną, zanika wymiar polityki w rozumieniu innym, niż kto kogo? Zarazem to samo środowisko wskazało, że podział postsmoleński można opisać dzięki pojęciu zaczerpniętemu z klasycznej myśli politycznej, greckiemu pojęciu stasis, czyli partyjnemu rozłamowi we wspólnocie politycznej przeradzającemu się w wojnę domową. Stasis to zarazem bezwład, bezruch, proste przeciwieństwo ruchu, czyli kineis; z

konfliktem o tych cechach mamy do czynienia wtedy, gdy wewnętrzna walka we wspólnocie politycznej nie unicestwia jej (polis ciągle istnieje), ale unieruchamia. Dzieje się bardzo wiele, trup ścieli się gęsto, ale właśnie przez to wspólnota polityczna nie jest w stanie podejmować, jako wspólnota, jakichkolwiek decyzji politycznych.

Najsławniejszy i najbardziej sugestywny opis stasis dał Tukidydes w księdze trzeciej Wojny Peloponeskiej przedstawiając wojnę stronnictw politycznych na Korkyrze. I tu właśnie kryje się pewien kłopot. Korkirejczycy mordowali wszystkich współobywateli, którzy wydawali im się przeciwnikami politycznymi/.../; zginęło także trochę ludzi wskutek porachunków osobistych, a inni z rąk swoich dłużników. W żaden sposób nie przypomina to polskiej „wojny plemion”, gdzie wzajemna przemoc ma charakter symboliczny, a narzędziem w walce nie jest odbieranie życia, ale odbieranie szacunku. Poniewierana opozycja uznaje mimo wszystko demokratyczny mandat władzy i na poniewierkę odpowiada jedynie zniewagami. Ale dojmujące poczucie bezwładności, wewnętrznej blokady Rzeczypospolitej jest czymś realnie odczuwalnym. Tym, co pozwala formułować sąd o wewnętrznym bezwładzie, jest polityczno-intelektualna degeneracja debaty publicznej i procesów decyzyjnych.

Z całą pewnością w postsmoleńskiej odmianie stasis występował i występuje, tak jak na Korkyrze, mechanizm spychania na margines odwołującej się do argumentów debaty publicznej i dominacja w polityce, rozumianej jako walka o władzę, zarządzania emocjami. Stąd przewaga tych, którzy odrzucają argumenty i – jak pisze Tukidydes – śmiało przystępują do czynów wiedząc, że jeśli zawczasu nic nie zrobią, ulegną wymowie i bystrej inteligencji przeciwnika. Ci zaś, którzy uważali, że nie trzeba stosować siły tam, gdzie wyniki można osiągnąć inteligencją, lekceważyli sobie takie postępowania i wskutek tego, często bezbronni, ginęli.

Doświadczenie tragedii smoleńskiej było tak dojmujące, a konflikt interpretacji sięgał tak głęboko, że w ciągu lat, które nastąpiły po 10 kwietnia 2010 uruchomiany został społeczny mechanizm obronny przed pełnoobjawowym rozłamem wspólnoty politycznej, który przekracza granicę przemocy symbolicznej i prowadzi do przemocy fizycznej. Polska stasis została skutecznie rozmiękczona, a, wyjąwszy jeden tragiczny incydent, przemoc fizyczna nie stała się elementem życia politycznego. Nie można też powiedzieć, że, tak jak na Korkyrze, związki partyjne opierają się na współuczestnictwie w zbrodni.

Obrona przed świadomym przeżyciem doświadczenia granicznego, które zakwestionowało pewność bytu wspólnoty politycznej; obrona wyrażająca się z jednej strony partyjną partykularyzacją tragedii smoleńskiej (dokonano zamachu na „naszego prezydenta”, a winni temu są wrogowie zewnętrzni i wewnętrzni), z drugiej strony zaś banalizacją wydarzenia (tragiczny wypadek, państwo się sprawdziło) doprowadziła do swoistego „otorbienia” podziału postsmoleńskiego. Tak jak organizm broniąc się przed stanem zapalnym wytwarzając cystę izoluje ognisko zapalne, tak w wymiarze życia społecznego kwestii smoleńskiej nadawany jest status nieporuszalności. Ponieważ najsilniej i najgłośniej artykułowane w sporze smoleńskim stanowiska wykluczają z racji skrajności wchodzenie w relacje z osobami odmiennego zdania(w najgorszym razie to zdrajcy, w najlepszym lemingi lub oszołomy), a Polacy chcą i muszą wchodzić ze sobą w relacje współpracy i zażyłości, to poruszanie kwestii smoleńskiej w gronach osób, co do których nie ma pewności, że podzielają jedną opinię, staje się dowodem złego wychowania. Ten proces „otorbienia” Smoleńska przebiegał oczywiście stopniowo. Jeszcze w dwa lata po katastrofie w kręgach rodzinnych, przyjacielskich, towarzysko-sąsiedzkich kwestia smoleńska była poruszana i wywoływało to niemiłe zadrażnienia. Obecnie, kiedy poglądy w gronach bliskich czy

znajomych są dobrze rozpoznane, to w przypadku ich zróżnicowania, wszyscy taktownie ten temat omijają: nie po to zeszliśmy się razem na grilla, czy wyjechaliśmy na działkę, by przyskać na siebie jadem. Ten bufor apolitycznej towarzyskości Polaków amortyzuje napięcie posmoleńskie bardzo skutecznie i sprawia, że kolejne mutacje wyartykułowanych stanowisk (np. któraś z rządu wersja hipotezy zamachowo-wybuchowej posła Macierewicza, czy któraś z rządu demaskacja posła Macierewicza przez Macieja Łaska) rozbrzmiewają wyłącznie w środkach masowego przekazu. Każdy wie już swoje: jedni, że z całkowitą pewnością lub sporym prawdopodobieństwem można mówić o zamachu, drudzy, że – o wypadku, trzeci – że nie wiadomo, jak było naprawdę, a jak było naprawdę, to się nie dowiemy. Każdy też pozostaje przy swoim – rozkład stanowisk w sprawie przyczyn katastrofy i prawdy o niej jest w miarę stały. A ponieważ jest nie tylko w miarę stały, ale także, jako taki powszechnie postrzegany, to emocje wokół niego są skutecznie wychładzane. Nie ma po jednej i drugiej stronie smoleńskich misjonarzy, nie ma też smoleńskich prozelitów.

Choć kwestia smoleńska jest społecznie nieporuszalna, to politycznie nie jest przemilczana. Stanowiska są formułowane i podawane do publicznej wiadomości. Ich sformułowania są odnotowywane i analizowane. Rocznica katastrofy jest na różne sposoby przez różne środowiska obchodzona, a obchody są szeroko relacjonowane przez środki masowego przekazu. Podział postmoleński uznawany jest powszechnie za politycznie ważny i żadna ze stron konfliktu jego ważności nie kwestionuje.

Nie ma zasadniczej sprzeczności między „otorbieniem” konfliktu postsmoleńskiego a powszechnym uznaniem jego politycznej ważności. „Otorbienie” jest możliwe, dzięki wyekspediowaniu sporu smoleńskiego z ciała społecznego do wysterylizowanej przestrzeni politycznej poprzez zabieg profesjonalizacji i rytualizacji.

Warto zauważyć powstanie nowej podgrupy zarówno polityków, jak i publicystów, którzy ze szczególną częstotliwością i intensywnością zajmują się formułowaniem i rozpropagowywaniem stanowisk w smoleńskim sporze. To polityczni lub publicyści profesjonaliści sporu smoleńskiego, a szerzej od dawania wyrazu tożsamości, dla której taki, a nie inny stosunek do podziału postsmoleńskiego jest jednym z elementów konstytutywnych. Potwierdzeniem ich wyodrębnienia jako podgrupy jest łatwo zauważalny fakt, że właściwie nikt poza nimi (pomijam tutaj bliskich ofiar katastrofy) stanowisk w sporze smoleńskim nie formułuje. Ci, którzy nie są smoleńsko-tożsamościowymi profesjonalistami, temat smoleński omijają z daleka. Przypuszczam, że dlatego, iż refleksyjnie lub intuicyjnie zdają sobie sprawę ze społecznego „otorbienia” sporu smoleńskiego, a zatem z tego, że zbyt daleko idące osobiste zaangażowanie w tym sporze będzie osłabiać ich skuteczność na innych obszarach. Na zasadzie dygresji, ale też pewnego wyjaśnienia, trzeba dodać, że podział na profesjonalistów i nieprofesjonalistów sporu smoleńskiego zakłóca jedna, ale bardzo istotna osoba, a mianowicie prezes Prawa i Sprawiedliwości. To zakłócenie jest jednak wyłącznie wynikiem zdarzenia losowego, to znaczy biorącej się z przygodności personalnej unii między szefem stronnictwa politycznego, które jest stroną sporu smoleńskiego, a osobą najbliższą Prezydentowi Rzeczypospolitej, który zginął w katastrofie smoleńskiej.

Profesjonalizacji sporu smoleńskiego towarzyszy postępująca rytualizacja. Mam na myśli nie tylko oczywistą rytualizację obchodów „miesięcznic” oraz rocznic katastrofy smoleńskiej, gdyż nie jest możliwe obchodzenie kolejnych rocznic bez powtarzalnego rytuału, ale też rutynizację formułowania stanowisk w sporze smoleńskim oraz rutynizację wymiany inwektyw (bo nie są to argumenty) między nimi. I znowu, nie ma w tym niczego niezwykłego. W kwestii smoleńskiej, w

której chodzi o prezentację własnej tożsamości możliwy jest spór. Ale nie jest możliwa dyskusja. Tam, gdzie nie jest możliwa dyskusja, której istotą jest prezentacja argumentów i ich ewentualna modyfikacja, korekta lub rewizja pod wpływem kontrargumentów, tam prezentacja własnego stanowiska musi ulec rutynizacji. Ponieważ zaś w sporze smoleńskim chodzi o kwestie tożsamościowe z natury rzeczy budzące emocje, rutynizacji towarzyszy rytualizacja. Widać to zwłaszcza na posiedzeniach sejmowego zespołu ds. wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej, który wytworzył własny rytuał.

Można zatem spojrzeć na funkcjonowanie podziału postsmoleńskiego jako na polityczną grę rządzącą się własnymi regułami. Nie chodzi tutaj o zarzut „grania trumnami”, który w tym sporze pojawia się z nużącą regularnością, jest całkowicie bezpodstawny i sam jest częścią gry. Pojęcia „gra” używam tutaj w tym sensie, jaki w swoich rozważaniach nadawali mu Johan Huizinga (Homo ludens, Zabawa jako źródło kultury) i Hans Georg Gadamer (Prawda i metoda). Ten ostatni kontynuując rozważania Huizingi dochodzi do wniosku o prymacie gry wobec prowadzących ją graczy: wszelkie granie polega na byciu granym. Urok gry, fascynacja, jaką ona wywołuje, polega właśnie na tym, że gra staje się panem grających. Istotą gry jest udział w niej i bycie dostrzeżonym i uznanym jako gracz. Jak zauważa Gadamer oddanie się zadaniu gry jest w istocie graniem z samym sobą. Autoprezentacja gry oddziałuje w ten sposób, że grający, gdy w coś gra, tj. coś prezentuje, dochodzi do własnej autoprezentacji.

Grający w Smoleńsk grają weń z potrzeby i dla przyjemności prezentacji i autoprezentacji. Wielokrotnie podkreślałem, że społecznym paliwem rozpoczętego pod koniec 2005 roku wewnętrznego konfliktu w ramach obozu postsolidarnościowego była walka o dystrybucję szacunku społecznego. Zróznicowanie stanowisk w sprawie przyczyn i odpowiedzialności za katastrofę smoleńską nadało

tej walce niesłuchanie silną symboliczną legitymizację. Nadanie konfliktowi postsmoleńskiemu formy gry okazało się rozwiązaniem skutecznym i w miarę bezpiecznym. Oczywiście, gracze obrzucają się inwektywami, a więc odmawiają sobie wprost szacunku. Jednakże dostrzeżenie wzajemnie siebie przez graczy, uznanie w roli graczy i deklaracja wzajemnego lęku są pośrednią i to mocną formą okazania szacunku drugiej stronie. W jakiś sposób szanujemy tych, których się boimy. Szanujemy, bo nawet obrzucając ich obelgami uznajemy, że są groźni, a zatem ważni. Gra w Smoleńsk najbardziej przypomina dziecięcą, podwórkową zabawę w Czarnego Luda.

Czarny lud: Boicie się czarnego luda?

Gracze: Nieee!

Czarny lud: A jeśli czarny lud przyjdzie?

Gracze: Uciekniemy!

W ten właśnie sposób groźba „twardej” stasis została oswojona. Gra smoleńska uchyla niebezpieczeństwo przerodzenia się wewnętrznego pęknięcia w gorący rozłam. Przemoc zostaje zamknięta w sferze symbolicznej, a każda ze stron dysponuje swoim narzędziami symbolicznej przemocy. Nawet jeśli zasoby są nierówno rozdzielone, to nie można podnosić zarzuty wykluczenia z udziału w grze. Wspólnota polityczna pozostaje zablokowana i w stanie bezruchu, ale w miarę bezpieczna: wewnętrzny konflikt polityczny jest całkowicie jałowy i nie stanowi źródła energii ożywiającej państwo, ale uchylona zostaje groźba rozpadu. Gra w Smoleńsk stała się jednym z podstawowych czynników statyki politycznej podtrzymującej bezwładne trwanie.

Oczywiście przesadzone i nietrafne byłoby stwierdzenie, że w okresie po 10 kwietnia 2010, czy sięgając wstecz od jesieni 2007 roku Polska znajdowała się wyłącznie w stanie wegetatywnego trwania. Politycznie sprawowany był lepiej lub gorzej bieżący administracyjny zarząd państwem, negocjowano nową perspektywę finansową, podejmowano

decyzje, choć w większości miały one charakter oportunistyczno-adaptacyjny, co nie zawsze musi być sprzeczne z interesem wspólnoty. Wewnętrzna blokada funkcjonowała poprzez koncentrację na intensywnym konflikcie wewnętrznym, którego strony składały swoim zwolennikom niemożliwe do realizacji obietnice: gwarancją normalności, rozwoju, modernizacji, podmiotowości polskiego państwa, jest anihilacja polityczna drugiej strony sporu. Ponieważ zaś anihilacja taka wbrew zapowiedziom jest niemożliwa, zarzucono formułowanie w języku polityki jakichkolwiek ambitnych planów, które realizacji modernizacji i podmiotowości mogłyby służyć. Kwintesencją takiego podejścia było kuriozalne, ale skuteczne hasło PO podczas kampanii wyborczej do samorządów w 2010 roku: Nie róbmy polityki. Budujmy Polskę (drogi, szkoły, mosty). W tych warunkach programy rozwojowe i ich realizacja miały głównie inercyjno-biurokratyczny charakter. Ten model rozwoju realizowany przez rząd PO był przedmiotem krytyki ze strony naukowców i publicystów konserwatywno-republikańskich oraz polityków prawicowych. Jednakże jedna z jego najdobitniejszych i najbardziej klarownie sformułowanych krytyk została przedstawiona przez środowisko od konserwatyizmu, republikanizmu i prawicowości odległe. W raporcie Kurs na innowacje. Jak wyprowadzić Polskę z rozwojowego dryfu? (2012 rok) prof. Jerzy Hausner wraz z zespołem doszli do następującej konkluzji:

Ukształtowany w okresie dwóch ostatnich dekad model rozwoju naszego kraju powoli, ale wyraźnie się wyczerpuje – Polska znalazła się w rozwojowym dryfie. Przy czym „rozwojowy dryf” rozumiemy w tym raporcie jako eksploatację dostępnych i pozyskanych w następstwie unijnej akcesji zasobów rozwojowych w sposób coraz bardziej ekstensywny i – co ważniejsze – w niewielkim stopniu je pomnażający.

Również diagnoza przyczyn dryfu rozwojowego zawarta w raporcie

przypomina te formułowane przez środowiska konserwatywno-republikańskie (Ośrodek Myśli Politycznej, Teologię Polityczną, Instytut Jagielloński):

Niestety polityka publiczna w Polsce nie odnosi się właściwie do współczesnych tendencji rozwojowych i nie respektuje nowego podejścia do polityki rozwoju. To praktyczny przejaw ogólnie niskiej sprawności państwa.

Problemy słabości państwa w interesującej nas dziedzinie odnosimy w szczególności do:

- niskiej jakości przywództwa politycznego;
- niewielkiego znaczenia sfery publicznej i publicznego dyskursu o zasadniczych kwestiach rozwoju kraju;
- wadliwych mechanizmów ustanawiania celów strategicznych państwa;
- słabości instrumentów prowadzenia, monitorowania i ewaluacji polityki rozwoju.

Bezwładne trwanie może być atrakcyjnym i satysfakcjonującym sposobem zbiorowego istnienia pod jednym wszakże warunkiem: otoczenie w ten sposób trwającej zbiorowości także trwa w bezpiecznym bezruchu. To wprawdzie warunek, który nigdy nie jest spełniony, jednakże zewnętrzne otoczenie może być tak właśnie postrzegane. I to jest właśnie przypadek Polski po 2004 roku. Spełnione zostały zasadnicze cele: członkostwo w NATO i UE. Zniknęła tym samym podstawa głębokiego wewnętrznego porozumienia większości sił politycznych: chcemy być na Zachodzie. Na pustkę spełnienia nałożył się intensywny wewnętrzny konflikt polityczny między PiS i PO, w którym polityka zagraniczna stała się jednym głównych pól starcia. To skutecznie uniemożliwiło wykreowanie nowego politycznego porozumienia obejmującego cel, sens i sposoby

funkcjonowania Polski w Unii Europejskiej i zapewnienie jej podmiotowości zarówno w relacjach z Niemcami, jak i z Rosją. Jeśli diagnozy i koncepcje były formułowane, to jako narzędzia politycznej walki. Propagandzie, która zapewniała, że Polska awansowała do centrum decyzyjnego UE przeciwstawiano propagandę, która głosiła, że Polska została zmarginalizowana, a nawet, że stała się niemiecko-rosyjskim kondominium. Nurtem dominującym stało się przekonanie, że świat zewnętrzny jest dla nas przyjazny i bezpieczny, a ci, którzy to przekonanie kontestują stanowią największe zagrożenie, bo z przyjaznym światem mogą nas skłócić. To właśnie dlatego wojna rosyjsko-gruzińska z 2008 roku oraz tragedia smoleńska nie zostały w dominującym nurcie uznane za sygnały zagrożenia. Zagrożenie związane z wojną gruzińską skutecznie wytłumił amerykańsko-rosyjski reset z 2009 roku, a katastrofa smoleńska została zaliczona do wypadków losowych; konflikt wokół niej został otorbiony w sposób, jaki wyżej opisałem: Sławianin słodko spał, słuchając brzęku pasiek w letnie popołudnie.

Ten czas na naszych oczach przeminął. W bezwładne trwanie podtrzymywanej przez miękką postsmoleńską stasis wspólnoty uderzył mróz ze Wschodu. Kryzys ukraiński, a przede wszystkim agresywna, ekspansjonistyczna polityka Rosji i jej działania zbrojne oraz związane z tym zagrożenia zniszczyły przeświadczenie o zasadniczej przyjazności świata. Czynniki wschodni ożywił, urealnił i ukonkretnił wszystkie polskie codzienne strachy i nocne koszmary. Pojawił się koszmar wojny, także wojny obejmującej Polskę. Pytanie: a czy wojny z tego nie będzie zadawano i zadaje się nadal powszechnie. Strach zaczął przenikać także życie codzienne. Pojawił się lęk przed opuszczeniem przez sojuszników, porozumieniem rosyjsko-niemieckim, rozdrażnieniem rosyjskiego niedźwiedzia, nowym Monachium. Agresja Rosji na Ukrainę i groźba stoczenia się Ukrainy do statusu „państwa upadłego” albo jej rozbioru konfrontuje Polskę i Polaków z

zasadniczym problemem państw niekoniecznych, których nieistnienie można sobie łatwo wyobrazić. Bo jeśli dziś Ukraina, to jutro zapewne my. A że to możemy być także my, to dobrze wiemy z naszej historii.. Jak podkreślają autorzy wspomnianego numeru Teologii Politycznej z doświadczeniem państwa polskiego jako bytu kruchego, niepewnego i niekoniecznego Polacy zetknęli się w pierwszych godzinach po tragedii smoleńskiej. Ale grozę związaną z tym można było oswoić odwołując się do tego, co nieprzewidywalne: ostatecznie, spokojne domy także piorun pali. Lęku przed koszmarem rosyjskim, przed Okiem Saurona tak rozładować nie sposób. Po pierwsze, dlatego że Smoleńsk był straszliwym wydarzeniem jednorazowym, takim jak uderzenie pioruna, a Rosja jest bytem trwałym działa i będzie działać. Można sobie wyobrazić Europę bez Polski na mapie, nie można jej sobie wyobrazić bez Niemiec, Francji, czy Rosji. Po drugie, tragedia smoleńska odsyłała do tego do tego, co nieprzewidywalne i w pewnym sensie niewytłumaczalne, a koszmar rosyjski jest przewidywalny i historycznie poświadczony. Nie ma sposobu na to, by go otorbić lub oswoić. Trzeba z nim żyć i sobie z nim radzić.

Z powyższego wynika, że to właśnie „czynnik wschodni” jako zupełnie nowy, przemożny impuls będzie oddziaływał na nową konfigurację postaw i afiliacji politycznych Polaków i albo wyrwie polską wspólnotę polityczną z postsmoleńskiej miękkiej stasis albo też będzie prowadził ku jej twardszym formom, tak jak na Korkyrze floty Ateńczyków i Lacedemończyków były tym czynnikiem, który rozłam wewnętrzny doprowadził do postaci skrajnej. Innymi słowy „czynnik wschodni” stał się impulsem wyzwalającym dynamikę polityczną zastygłego w bezruchu ciała Rzeczpospolitej.

Warto przy tym zwrócić uwagę na to, że reakcje na „czynnik wschodni”, przyczajonego smoka polskiej polityki, będą w musiały w naturalny sposób nawiązywać do historycznych odpowiedzi na stare pytanie.

Tragedia smoleńska nie miała precedensu. Wszystko, co można było o niej powiedzieć, musiało być nowe. Polska ma problem z Rosją nie od dziś, nie od dziś leży między Rosją a Niemcami.

Istotniejsze jednak od możliwych kontynuacji w tworzeniu odpowiedzi na rosyjskie zagrożenie jest potencjalność zaistnienia w Polsce społecznego materiału na silną orientację polityczną, którą można określić: Przede Wszystkim Nie Drażnić Niedźwiedzia (PNDN). Na razie ta orientacja polityczna nie ukonkretniła się, funkcjonuje społecznie w pełnych lęku pytaniach, wątpliwościach, rozmowach. Odwołuje się ona do historycznie poświadczonych lęków przed Rosją, obojętnością Zachodu, sojuszem rosyjsko-niemieckim. A lęki mają to do siebie, że można nimi sterować, zaś konsola sterownicza znajduje się w Moskwie. Narzędzia te były już po 1989 roku używane, ale na w miarę skromną skalę (podnoszenie kwestii chuligańskich pobić obywateli Rosji do rangi incydentów podejmowanych przez rosyjskiego prezydenta, rozmieszczenie rakiet Iskander w obwodzie kaliningradzkim, pozataryfowe blokady eksportu żywności i płodów rolnych, szantaż energetyczny). W przeszłości jednak stawka była dla Rosji niższa. Teraz wzrosła i zmiana skali jest tylko kwestią czasu. A zmiana skali oznacza, że w sytuacji politycznego obezwładnienia Polski przez miękką stasis i reaktywności polskiej polityki, Moskwa uzyskała silne narzędzie kształtowania układu sił politycznych w Polsce.

O tym, że w polskiej polityce już zaistniało głębokie pęknięcie, mógł się przekonać uważny słuchacz poświęconej kryzysowi ukraińskiemu debaty sejmowej w dniu 5 marca br., a także późniejszych sygnałów wysyłanych przez parlamentarne i pozaparlamentarne partie polityczne. 5 marca partie o genezie lub genealogii antykomunistyczno-solidarnościowej (PO, PiS, SP) przedstawiły wspólną definicję sytuacji związaną z agresją Rosji na Ukrainę. Jeśli się spierały, to o kolory. Partie o innej genealogii lub genezie (SLD, PSL,

TR) dyskutowały natomiast o kształtach. Nie było żadnej spójności między wystąpieniem premiera Tuska, a wystąpieniem szefa PSL i wicepremiera Janusza Piechocińskiego, który w obliczu zbrojnej agresji na Ukrainę mówił o potrzebie rozwijania zdolności do współpracy gospodarczej, także z Rosją. Pomysł wysunięty przez rząd, by zabiegać o stałe stacjonowanie w Polsce dwóch ciężkich brygad NATO spotkał się z wyraźnym dystansem ze strony SLD i TR, a jawną krytyką ze strony PSL. Na poziomie pozaparlamentarnym beneficjentem stanowiska proputinowskiego stał się natomiast Kongres Nowej Prawicy Janusza Korwina-Mikke. Natomiast Leszek Miller parokrotnie ubolewał nad tym, że wśród licznych rozmówców premiera Tuska nie ma niestety prezydenta Putina, który z Leszkiem Millerem zawsze rozmawiał

Widać wyraźnie, że jeśli chodzi o definiowanie zagrożeń, to linia podziału biegnie w poprzek zróżnicowania na rząd i opozycję, bardziej przylegając do historycznego podziału postkomunistycznego. Biegnie ona też w poprzek intensywnego konfliktu zastygłego w postaci miękkiej stasis, którego partyjnymi podmiotami są PiS i PO. Choć PiS przedstawia wspólną z PO definicję zagrożeń, to jego przesłanie ukierunkowane jest jedynie na osłabienie pozycji partyjnego wroga, bez liczenia się ze skutkami ubocznymi, które zapewne w ogóle nie są dostrzegane. A one są najważniejsze. Skoro bowiem wedle przekazu PiS Polska jest słaba, lekceważona przez sojuszników zachodnich, skonfliktowana z państwami regionu, bezbronna wobec Rosji, a wszystko to wina Tuska, Sikorskiego i PO, to w odbiorze politycznym i społecznym narzucającym się wnioskiem nie jest wcale dążenie do zastąpienia rządów PO rządami PiS, ale niewchodzenie w konflikt z Rosją, zejście z linii strzału, nie drażnienie niedźwiedzia. W ten sposób PiS przyczynia się do wzrostu siły orientacji PNDN, która nie znalazła jeszcze swojej artykulacji partyjno-politycznej, ale ją znajdzie przede wszystkim w postaci PSL i SLD. Leszek Miller ma wszelkie szanse, by

zacząć skutecznie w kategoriach funkcjonalnych odgrywać wobec Donalda Tuska taką rolę, jaką ten odgrywał wobec Lecha i Jarosława Kaczyńskich: krytyka awanturniczej polityki zagranicznej zagrażającej egzystencjalnym interesom Polski. A ma za sobą jednego z najsilniejszych sojuszników: polski strach. A to oznacza, że po wyborach 2015 roku stworzenie rządu, który będzie w stanie prowadzić wobec rosyjskiego zagrożenia jakąkolwiek spójną politykę będzie bliskie niemożliwości.

Przyczajony tygrys rosyjskiego zagrożenia może także doprowadzić do rewitalizacji na polskiej prawicy nurtów prorosyjskich i antyeuropejskich, które obecnie są zjawiskami niszowymi. Ten proces już ma miejsce, chociaż na niewielką skalę w postaci sukcesów Kongresu Nowej Prawicy. To właśnie ta partia, a także takie środowiska jak portal konserwatyzm.pl i czasopismo Myśl Polska traktują prezydenta Putina w kategoriach polityczno-religijnych jako katechona – tego, który powstrzymuje ekspansję liberalnego i zgniłego Zachodu. A ponieważ tenże zgniły Zachód jest także rozmemłany, egoistyczny i jak przyjdzie co do czego, to Polskę, którą w celach antyrosyjskich wykorzystuje, na pewno zdradzi, to nie ma rozsądniejszego politycznie wyboru niż zawrzeć sojusz z Rosją. Nie są to w ostatnim dziesięcioleciu poglądy nowe. Taką koncepcję polityczną przedstawił w Kontrewolucji młodych Roman Giertych. A był to przywódca silnej partii politycznej, w swoim czasie minister i wicepremier. Obecnie z nieco innych pozycji politycznych powraca do tych idei, głosząc, że jeśli USA nie rozmieszczą na terenie Polski broni jądrowej, to to należy wybrać model polityki pruskiej wobec Rosji w XIX wieku. Ponieważ zaś dyslokację broni jądrowej na polskim terytorium można uznać za mało prawdopodobną, to realny wybór pozostaje – by odwołać się do sentencji przypisywanej Bismarckowi – jeden: Tajniki polityki? Podpisać dobry traktat z Rosją! Przypomnijmy, że w 2003 roku przeciw akcesji Polski do UE opowiedziało się ponad 22 procent głosujących. Ci

ludzie nie zniknęli.

Orientacja PNDN nie ma określonej afiliacji ideowej. Może znaleźć swoją artykulację polityczną tak na lewicy, jak i prawicy. W partiach politycznych, które opowiadają się przeciw Unii Europejskiej oraz tych, które postulują silniejszą europejską integrację polityczną.

Takiemu rozwojowi sytuacji trudno będzie przeciwdziałać, jeśli już teraz Polacy nie zaczną wychodzić z miękkiej postsmoleńskiej stasis. Nadziei nie należy upatrywać w powoływaniu partii nowych, ani w moralistycznych apelach o zmianę relacji między istniejącymi partiami, zwłaszcza między PO i PiS, które są głównymi podmiotami wewnętrznego konfliktu. Apele nic tu nie dadzą. Potrzebne są fakty dokonane w dwóch kluczowych i powiązanych ze sobą obszarach.

Pierwszym jest odbudowa wspólnoty pamięci o tragedii smoleńskiej. Konflikt smoleński przybrał formę stasis, przede wszystkim dlatego, że taką wspólnotę pamięci wykluczono. Najpierw była tzw. wojna o krzyż, ze wszystkimi niechlubnymi incydentami, a potem, co ważniejsze, odmowa pomnika na Trakcie Królewskim. Ponieważ odmówiono miejsca pamięci wspólnej doszło do skrajnej partyjnej partykularyzacji. Postulat pomnika ofiar katastrofy zniknął z politycznej agendy PiS-u i przepoczwarzył się w żądanie wystawienia pomnika Lechowi Kaczyńskiemu. O wspólnotę pamięci dopominały się podczas obchodów rocznicy katastrofy jedynie dwie zbolełe córki jej ofiar: Barbara Nowacka i Małgorzata Wasserman. To, że osoby tak politycznie i ideowo od siebie odległe mówiły w tej sprawie jednym głosem pokazuje na konsolidacyjny potencjał wspólnoty pamięci, któremu trzeba stworzyć możliwość ujawnienia się.

Obszarem drugim jest wyrwanie polityki zagranicznej z konfliktu wewnętrznego. Nie chodzi oczywiście o to, by o politykę zagraniczną się nie spierać. Jest o co. Rzecz w tym, że od 2006 roku polityka

zagraniczna stała się jednym z głównych pól wewnętrznego, niszczącego starcia, w którym nie chodzi o to, by dokonać najlepszego dla wspólnoty politycznego wyboru, ale by odmówić przeciwnikowi prawa do istnienia i przedstawić go, jako zagrożenie dla istnienia wspólnoty. Tradycja konfederacyjno-niepodległościowa, do której odwołuje się jedna ze stron sporu przedstawiana jest jako azjatyckie zdziczenie, a w polityce realizować ją mieli od konfederacji barskiej po Powstanie Warszawskie pijacy oraz wymagające wsparcia psychoterapeuty nieprawidłowe osobowości. Kto nie wierzy, niech poczyta blog dyrektora politycznego MSZ na stronie resortu. Z drugiej strony polityka zagraniczna obecnego rządu wpisywana jest w tradycję w najlepszym razie tchórzliwego oportunisty, a w najgorszym – zdrady narodowej.

Jest oczywiste, że w tej wymianie inwektyw nie chodzi o politykę zagraniczną tylko o konflikt dwóch równoprawnych i zakorzenionych w polskiej historii oraz dzisiejszym życiu społecznym tożsamości, których polityczni i ideowi reprezentanci zaczęli odmawiać drugiej stronie prawa do szacunku i istnienia.

Wydaje mi się, że rozpoczęcie procesu narodowej rekonsolidacji poprzez skuteczne działania na obu tych obszarach jest nie tylko niezbędne, ale też możliwe. Pytanie tylko, czy ci, którzy mają odpowiednie zasoby, by tego dokonać, podejmą się tego zadania.

Ludwik Dorn

Przeczytaj także:

Polska po katastrofie czy przed katastrofą? - rozmowę redakcyjną

Stásis w Polsce Tomasz Stefanek, Piotr Szlagowski

Dziady na Krakowskim - wstępy do 6. numeru TP - Marek A. Cichocki,
Dariusz Karłowicz